



którą ukrywał w cmentarnych grobowcach.

1 sierpnia 1944 r. wybuchło powstanie warszawskie. Ks. Zygmunt zaangażował się wtedy w pomoc powstańcom w rejonie cmentarza luterńskiego. Gdy Niemcy zajęli cmentarz, uciekł wraz z rodziną i innymi ewangelikami do kościoła ewangelicko-reformowanego przy ul. Leszno. Niemcy wtargnęli do kościoła i zmusili mężczyzn do rozebrania powstańczych barykad, zaś kobiety i dzieci zabrano do obozu przejściowego w Pruszkowie.

Ks. Zygmuntowi udało się uciec spod barykad, a następnie dostać się do powstańców walczących na Starym Mieście. Tam przybrał pseudonim „Pleban” i wszedł w skład 169 plutonu 4. kompanii podporucznika „Osy”.

Ten ewangelicki duchowny walczył jako prosty żołnierz, a jednocześnie pełnił funkcje kapelana. Pomagał budować barykady, stał na wartach, wychodził wraz z innymi na wypady, ratował zaszypanych. Kilkakrotnie odprawiał nabożeństwa, na których zbierali się żołnierze-ewangelicy.

Z tego dramatycznego okresu zachowały się wspomnienia Jerzego HAUPTMANN-KRAJEWSKIEGO: „(...) Mała piwniczka. Kilku żołnierzy i ks. Zygmunt w „panterce” z Nowym Testamentem w ręku. Podobnego nabożeństwa nie przeżyłem nigdy w życiu. Wokół wszystko trzęsie się, wali w gruzy, a tu płynie spokojny śpiew „Warownym grodem jest nasz Bóg”, a potem „pod Twoją obronę”! A Komunia (wina i opłatka udzielił kapelan katolicki) łączy nas wszystkich z Najwyższym, który nie opuszcza nas w tych najcięższych chwilach (...)”.

Pod koniec sierpnia 1944 r. „Pleban” wraz ze swoją kompanią przeszedł kanałami na Żoliborz. Trzy dni przed zakończeniem powstania osłaniając wycofujących się kolegów, został ranny. Umiera w ostatni dzień powstania wskutek odniesionych ran na placówce przy ul. Gdańskiej 2.

Tablice pamiątkowe z jego imieniem znajdują się w kościele ewangelicko-auzburskim Wniebowstąpienia Pańskiego przy ul. Puławskiej oraz w rzymskokatolickim kościele Św. Antoniego przy ul. Senatorskiej w Warszawie.

*Sebastian Madejski*

Że niezachwianie wierzy we wszystko, co jest zawarte w Piśmie Świętym? Czyja wiara jest tak jasna jak słońce w południe i tak mocna, by mogła przenosić góry? Kto może powiedzieć, że jego wiara jest doskonała?

Warto zatem postawić nieco inne pytanie: dlaczego nasza wiara bywa taka słaba? Dlaczego Bóg pozwala na tak wiele cierpienia nie tylko w świecie, ale często w naszym życiu? Oczywiście na tak trudne pytania nie ma jednej, prostej odpowiedzi. Z pewnością jednak do pewnej odpowiedzi przybliży nas postawa ojca z rozważanej historii biblijnej: mianowicie on przyznaje się do swoich słabości. Szczerze wyznaje swoje wątpliwości oraz swoją niewiarę. I co tutaj kluczowe: prosi o pomoc wbrew swojej niewierze! Zauważmy, że dopiero potem prosi Jezusa o uzdrowienie dla swojego dziecka. I dopiero wtedy wydarza się cud! Dlaczego? Ponieważ Jezus przejmuje się tą prostą i szczerą modlitwą o wiarę. Widzimy więc, że resztką zaufania pośrodku zwątpienia okazała się wystarczająca, by przyjść do Jezusa i uczciwie prosić o pomoc. A więc kolejność wydarzeń jest taka: najpierw Zbawiciel zmiłował się nad skruszonym ojcem, następnie w niezwykle sposób uzdrowił jego dziecko, by wreszcie całą rodzinę obdarzyć wybawieniem. Jezus ze swojej strony czyni to wszystko samodzielnie i autonomicznie. Jednak Jezusowa pomoc byłaby niemożliwa, gdyby nie choćby i najmniejsza wiara rodzica dziecka.

Jestem przekonany, że przytoczona na początku historia o uzdrowieniu chłopca chorego na epilepsję przynosi nam coś, co również w naszym własnym życiu może być dla nas pociechą czy pokrzepieniem, a nawet wyzwoleniem. Szczególnie wtedy, gdy czujemy, że również nasze własne zaufanie do Boga słabnie. Albo wtedy, gdy nie do końca jesteśmy przekonani, że Bóg czuwa nad nami we wszystkich sprawach naszego życia. Jeśli tak jest, jeśli tak wygląda kondycja naszego ducha, pamiętajmy o modlitwie, która zostaje wypowiedziana przez ojca chorego chłopca. Przecież nawet jeśli nasza wiara byłaby tak znikoma jak ziarno gorczycy, jedno możemy zrobić: prostodusznie prosić o pomoc Bożą! O nieco więcej wiary! O ratunek wreszcie! Dokładnie tak: „Wierzę, pomóż niedowiarstwu memu”. W oczach Jezusa taka wiara jest wystarczająca, by Jego pomoc była w naszym życiu skuteczna. By zadziałać, Bóg potrzebuje jakiegoś punktu zaczepienia. Nie ma nic lepszego od modlitwy – najprostszej rozmowy naszego serca ze Stwórcą. Jednego możemy być w tym miejscu pewni: modlić możemy się zawsze; możemy, a nawet powinniśmy się modlić za siebie i za innych, zwłaszcza wtedy, gdy kłębią się w nas najróżniejsze wątpliwości! Pamiętajmy, że On nas prawdziwie umiłował, On wezwał nas po imieniu i niezmiennie pozostajemy Jego własnością. Jeśli się Go trzymamy, każda i każdy z nas może śmiało wyznawać: *Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus* (Ga 2, 20). Amen.

ks. dr Dariusz Chwastek